



Katarzyna Bonda – pisarka, scenarzystka, dokumentalistka specjalizująca się w tematyce kryminalnej. Nominowana do Nagrody Wielkiego Kalibru za powieść „Sprawa Niny Frank”, pierwszej części serii kryminalnej z profilerem Hubertem Meyerem (kolejne części: „Tylko martwi nie kłamią”, „Florystka”). Autorka książek dokumentalnych „Polskie morderczynie” i „Zbrodnia niedoskonała”. Założycielka szkoły kreatywnego pisania www.maszynadopisania.pl.

Rozmowa z pisarką i dokumentalistką **Katarzyną Bondą** o zawodzie profilerów, morderczyniach i zainfekowaniu zbrodnią

Kryminału się nie wymyśla

JUSTYNA SOBOLEWSKA: – Jak reagują policjanci, kiedy przychodzi pani zbierać materiał do książki?

KATARZYNA BONDA: – Wchodzę i od razu oceniam, etykietuję: przysła blondynka, czegoś chce. Jedyne, co mogę zrobić, to zastrzeż ich wiedzę. Teraz piszę kolejną książkę, w której ważnym elementem będzie zapach, byłam na spotkaniu w laboratorium kryminalistycznym z osmologami. Oni wiedzieli, kim jestem, czytali moje książki, ale przyjeżdżam i od razu nieufność: Czego? Po co? Dlaczego u nas? A poza tym, jak można w ciągu jednego dnia wytłumaczyć tej blondynce coś, czego trzeba uczyć się latami? To jest żonglerka, wykorzystanie atrybutów, nie bez przyczyny noszę długie blond włosy. Nawet jak się pomylę, mam taryfę ulgową. Z drugiej strony – konkret. Oni widzą, że się orientuję, ale nie udaję eksperta.

W najnowszej powieści „Florystka” czuje się, że wszystko tam zostało naocznie sprawdzone.

Śmieją się ze mnie, że jestem taka obsesyjnie dokładna. Ale wydaje mi się, że to widać, kiedy pisarz przemyka się po wierzchu. W laboratorium pokazali mi na przykład tzw. ciągi selekcyjne, ale ja musiałam zobaczyć na własne oczy puszkę zapachową, czyli po prostu słoik. A kiedy zażądałam jeszcze etykietki, to w końcu dali mi ten słoik, pochłaniacz i zrobili ze mną „na sucho” eksperyment sprawdzający każdego z fabularnych podejrzanych. Spędziłam tam cały dzień.

Napisała pani dwie książki dokumentalne, jedna z nich to portret polskich morderczyń. Dlaczego właśnie morderczynie?

Temat morderczyń zawsze we mnie był, pracę magisterską pisałam o morderczy-

niach. Nie rozumiałam, skąd się to bierze, jak to jest możliwe, żeby uczestniczyć w czymś takim. I wróciłam do tego tematu po wypadku, który kompletnie zmienił moje życie. Jechałam na reportaż o stresie wśród służby więziennej. Byłam bardzo zmęczona, pracowałam wtedy nocami w „Newsweeku”. W piątek prosiłam, żebym nie musiała jechać, ale nie było ludzi, wakacje. Zawsze jeździłam za szybko, ignorowałam znaki drogowe i zawsze wcześniej mi się udawało. Rzadko kiedy dostawałam mandaty, byłam uważana za bardzo dobrego kierowcę, jeździłam jak facet, a nie blondynka. Tego dnia, dojeżdżając do Tarnowa, za późno zobaczyłam człowieka. Uderzyłam w niego na przejściu, zmarł w szpitalu. Miał 80 lat, a ja 29. Urodziliśmy się tego samego dnia, jak potem sprawdziłam. To był moment krytyczny, już nigdy nie byłam tą samą

osobą. Wtedy nie uświadamiałam sobie winy. Dostałam wyrok, redakcja dała mi adwokata, nie byłam po alkoholu, przyznałam się do winy. I załamalam się, dwa lata byłam pod opieką psychiatry. Po prostu czułam się morderczynią. Po jakimś czasie zaczęłam sobie uświadamiać, że zawsze popełniałam te błędy, że były sytuacje alarmujące, a ja nie przestawałam tak szybko jeździć. Próbowалаm skontaktować się z rodziną tego człowieka, ale oni nie chcieli ze mną rozmawiać. Napisałam pierwszą książkę „Sprawę Niny Frank” i zastanawiałam się, co chcę robić dalej. Postanowiłam porozmawiać z morderczyniami. Wtedy nie rozumiałam, że chodzi o mnie, sądziłam, że to one są złe, jak bestie, nastawiłam się na walkę.

A może chciała pani sprawdzić, czy mają poczucie winy i jak sobie z tym radzą?

Tak, ta książka wzięła się z mojej traumy, ale wtedy tego nie widziałam. Tak bardzo zakłamywałam tę przestrzeń, próbowałam się usprawiedliwiać, że jestem inna, nie należę do nich. Robiłam to samo co one, kiedy próbowały mnie uwieść, żeby przedstawić siebie w lepszym świetle. A ja mówiłam sobie, że po prostu chcę napisać książkę. Nie opowiadałam im o sobie, bo to zmieniłoby ich stosunek do mnie. Charakterystyczne dla zbrodni kobiecej jest to, że ona dzieli ich życie na pół – nie mogą od tego uciec. Kiedyś patrzyłam na Monikę Szymańską, morderczynię Tomka Jaworskiego, jak na diabła wcielonego. Potem zobaczyłam w niej człowieka. Ta książka była dla mnie oczyszczeniem.

Okazuje się, że można mieć kompletnie zafałszowaną świadomość, nie dopuszczając do siebie prawdy.

To jest fascynujące, jak człowiek może stworzyć sobie alternatywny świat. Nie wierzę w to, że chodzi o krótką chwilę zbrodni. To, co warunkuje te osoby, zaczyna się dużo, dużo wcześniej, większość odczuwa rodzaj utraty, braku w dzieciństwie. Dobrym przykładem jest Małgorzata, lekarka. Matka wykorzystywała ją do śledzenia ojca, który miał kochankę. Potem, już jako dorosła kobieta, zdecydowała się zamordować żonę kochanka, uduśliła ją paskiem. Pracowała w pogotowiu i codziennie ratowała ludziom życie. W pierwszej chwili widzimy dewiantkę. Ale jak spojrzeć głębiej, to zobaczymy, że ten błąd istniał w jej rodzinie. Iles lat później ta kobieta spotkała mężczyznę, który miał żonę i nie mógł od niej odejść. Więc musiała tę żonę wyeliminować. To jest rodzaj matrycy. Przez całe życie dążyła do tego, żeby naprawić ten błąd. W każdej z tych historii jest coś takiego.

Bohaterem pani powieści jest profiler Hubert Meyer, który ma swój pierwowzór w postaci profilera i psychologa policyjnego Bogdana Lacha. Potem

napisała pani z nim książkę o profilowaniu morderców. Jak go pani znalazła?

Pisałam tekst dziennikarski i trafiłam do Rawicza, gdzie całemu miasteczku robili testy DNA. W sklepie spożywczym zaszytletowano młodą dziewczynę i nie mogli wykryć sprawcy, więc badali DNA, ale bezskutecznie. Napisałam tekst i po jakimś czasie znalazłam notkę, że znaleziono zabójcę, który okazał się seryjnym mordercą. Zadzwoiłam do komendanta i zapytałam, jak go znaleźli. Usłyszałam, że przyjechał koleś w czarnym płaszczu, wziął akta na noc i rano, jak komendant przeczytał jego uwagi, to wiedział, o kogo chodzi. I zabójca się przyznał nie tylko do tej sprawy. Komendant nie znał nawet słowa profiler, mówił: jakiś „prowajder”. To było w 2004 r. Dziś już każdy wie, kto to jest. Poprosiłam komendanta, żeby dał mi telefon do tego „prowajdera”.

Znała pani ten zawód z filmów amerykańskich?

Kiedy pojechałam do Bogdana Lacha, miałam szczątkową wiedzę z filmów i z anglojęzycznej literatury. Wiele osób w Polsce do tej pory nie wierzy w skuteczność profilowania. Kiedy wyszła nasza książka o profilowaniu, odezwało się wiele głosów, że to nie jest dziedzina naukowa, tylko wróżenie z fusów i jasnowidztwo. Ja odpieram te ataki, ponieważ im głębiej wchodziłam w tę dziedzinę, tym bardziej widziałam, jak to jest bardzo analityczne. Wszystkie elementy muszą się złożyć jak puzzle. Profiler używa psychologii, ale musi mieć wiedzę z wielu dziedzin, z kryminologii, wiktyologii, prawa, musi wiedzieć, jak rozmawiać z patologiem. Na przykład Wisła. Jeśli sprawca chce ukryć zwłoki, to najpewniej ukryje je po przeciwnej stronie rzeki niż ta, na której mieszka, bo będzie czuł się bezpiecznie, bo to nie jest jego teren. Była taka sprawa z babcią, która usypiała staruszki benzodiazepinami. Długo nie mogli jej znaleźć, dopiero kiedy profiler wszedł do sprawy, to określił jej wiek i płeć, i to, że ona dojeżdża do Warszawy kolejką. Określił jej strefę buforową (bezpieczną, gdzie mieszka) i strefę działania. Profil jest długą ekspertyzą na kilka stron, w której policjanci dostają pigułę psychologiczną i wiedzę wiktyologiczną o ofierze plus najważniejsze, czyli cechy osobowości sprawcy. W jakim jest wieku, gdzie może mieszkać, jakiej jest płci, orientacji seksualnej, jaką pracę wykonuje.

A skąd profiler to wie?

To są dane z miejsca zdarzenia, dane o ofierze, bo musi istnieć związek między ofiarą a mordercą. Sprawca nie wybierze osoby, nad którą nie zapanuje. Babcia też wybierała osoby określone: poznane w kościele i na prezentacjach garnków,

zdobywała ich zaufanie, one zapraszały ją do domu i potem, czasem dopiero za drugim, trzecim razem, wyciągała soczek. Profiler przede wszystkim bada miejsce, obrażenia, ale też analizuje, jakie są ofiary, bo sprawca do nich pasuje. Kiedy wracałam po pierwszym spotkaniu z Bogdanem, wiedziałam, że to będzie bohater mojej książki, kryminału.

A co on na to? Jak przyjął tę postać?

W książce jest zupełnie inny niż w rzeczywistości. Mojego bohatera nie lubię, wkurza mnie, ale sama też prowadziłabym to dochodzenie tak jak on. Bałam się pokazać książkę Bogdanowi. Byłam pewna, że dostanę reprimendę, bo mówił mi zawsze, że profiler musi mieć uporządkowane życie, bo to, czym się zajmuje, jest bardzo infekujące. Zaś w mojej książce Meyer jest niepokładany. Jednak spodobał się Bogdanowi na tyle, że zaproponował, żebyśmy napisali razem książkę dokumentalną. Ta książka, „Zbrodnia niedoskonała”, była dla mnie trudniejsza niż „Polskie morderczynie”.

Dlaczego?

Trudne było wchodzenie tak głęboko w te sprawy, które omawialiśmy. Brytyjscy profilerzy wczuwają się w umysł sprawcy. Ja się nie wczuwałam, ale i tak to infekowało. Niby czułam się dobrze, ale pojawiły się podświadome lęki. Moja córka miała dwa i pół roku. Doszło do tego, że kiedyś siedziałam w nocy przed komputerem i nagle się zorientowałam, że mój telefon został w samochodzie. Zaczęłam się zastanawiać, czy mam wyjść i zamknąć drzwi, bo wtedy, jak ktoś mnie zabije, to nie wiadomo, kiedy dziecko odnajdą, czy mam zostawić otwarte, bo wtedy szybciej ją odnajdą, ale ktoś może wejść i jej zrobić krzywdę. Zaczęłam myśleć, że wszyscy są potencjalnymi mordercami. Wydawca zaproponował napisanie kolejnej części, ale nie chciałam. Zaspokoiliam ciekawość.

A nie chciała pani zostać profilerką?

Nie, wystarczy, że o tym piszę. Kobiety są świetnymi profilerkami, ale jest ich bardzo mało. Nasza sfera emocjonalna jest o wiele delikatniejsza, trudniej nam się oczyścić. Profilowanie oznacza umiejętność analizy, łączenia elementów, dostrzeżenia rozmaitych połączeń międzyludzkich, motywacji – kobiety są w tym dobre. Z tym że w pracę profilera wliczone jest też obowiązkowe bywanie na miejscach zbrodni, sekcjach zwłok, analiza zadanych ciosów (to abecadło profilera), a to już hardcore. Ale pisać o tym – profilować „na sucho” – lubię. Koledzy mi zarzucają, że moje kryminały są zbyt baśniowe, bo doprowadzam do sytuacji, w której bilans wychodzi dodatni. Ale po to są kryminały, żeby dawać oczyszczenie. Lepiej, żeby ludzie czytali o okropnych rzeczach, niż żeby przeżywali je w rzeczywistości.

ROZMAWIAŁA JUSTYNA SOBOLEWSKA